



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

CO ŻYCIE DAĆ MOŻE.

VI.

Religia.

Religia prawdziwie i głęboko pojmwana nakazuje przedewszystkiem spełnianie obowiązków naszych i nie ogranicza się bynajmniej na wykonywaniu pewnych zewnętrznych form czei Boga, niemniej każda istota ludzka potrzebuje podnosić wzrok ku górze, ku promieniom światła jaśniejącego na błękitie niebios, aby przeniknęła się tą wiedzą, iż z góry spływa na świat nasz ziemski siła, która go utrzymuje i ożywia wszystko, co mieści się na nim. To, co Locke nakazywał rodzicom: „Wpajajcie w dzieci wasze miłość i cześć Istoty najwyższej,” jest podstawą kształcenia się ludzkości i podporą życia każdego człowieka, bo każdemu potrzebną jest ta kotwica wiary, aby miał oparcie mocne wśród wzburzonych nierzadko fal życia. Dziecko przez wyrobienie w sobie uczucia pobożności już się podnosi po nad materyalne tylko strony istnienia i to jest pierwszym szczeblem tej drabiny Jakóba, która wzwyż nas wiedzie, trzeba przecież na to, aby młoda istota otrzymała pewne pojęcie tego, co jest Bóg we wszechmocy swojej. Należy jej to ukazywać we wspaniałych widokach natury, we wspaniałych jej tworach i Lubbock nie myli się też w tem, gdy pisze że znajomość dogmatów religijnych jest tylko nauką religii, wiedzą tego na czem się religia zasadza, ale nie religią samą, bo ta zawiera się w uczuciu w miłości Boga i w spełnianiu obowiązków, jakie wiara nasza nakłada na nas.

Miłość Boga wykazuje się najlepiej przez miłość bliźniego w uczynkach miłosiernych, przecież nie-

tylko tych, przez które głodny zostaje nakarmionym, nagi oddzianym. Nieraz skarżymy się na ludzi, że nie są dla nas braćmi po Bogu, czy przecież i my zawsze tak postępujemy, jak tego nakazana nam miłość bliźniego wymaga: czy śpieszymy mu zawsze z pomocą, czy pytamy się o to zali nasz zły przykład nie stanie mu się podniętą do złego? Wtedy nawet, gdy mamy słuszny powód do żalu, powinniśmy przebaczyć, aby i nam przebaczeniem zostały nasze winy, nasze zaniedbanie obowiązków miłości bliźniego, jednym też z najcięższych grzechów jest nienawiść zacięta, która nie chce darować urazy, nie chce wchodzić w powody, które do złego popychały, a przecie religia Chrystusowa jest religią miłości i przebaczenia, a przytem człowiek też obrażony, człowiek w uczuciu swoim dotknięty, powinien zapytać sam siebie, czy on nigdy nie obrażał nikogo?

Religia Chrystusa jest i religią nadziei. Poyskujemy ją przez wiarę i staje nam się ona pomocą w tych ciężkich chwilach dla ducha, gdy zwątpienia bliżej tracimy zaufanie w siły własne i wtedy to trzeba nam mieć na oparcie kotwicę tę mocną, która jest wiarą w łaskę Boga. Powinniśmy też pielegnować w sobie tę wiarę jako skarb najdroższy i nie narażać się na walki ze zwątpieniem, w których duch nasz męczy się, więc słabnie i utracę spokój, dający życiu naszemu równowagę, co przecież zależy od nas samych. Nie narażać się na zetknięcie z ludźmi, którzy wątpią i udzielić nam mogą zarazy zwątpienia, jest jedną z najmocniejszych tarcz wiary i mędrzec angielski, daje nam też radę tę dobrą, abyśmy starali się obcować przeważnie z ludźmi wierzącymi. „Dzie się minut spędzanych codziennie wśród ludzi, którzy są prawdziwymi chrześcijanami, dać nam może taką dla wiary naszej podstawę, że nie zachwiejemy się już nigdy, bo dowodnie czuć będziemy, iż wiara jest nam najwyższą pomocą wśród walk i doświadczeń życia.” „Myśl czysta i spokojna, twierdzi Lubbock, jest darem, który wiara nam daje, bo

nie pozwala nam poszukiwać tego, co jest niestalem i zawodnem — nie pozwala rodzić się w nas chęciom próżnym i niskim.”

Seneka ostrzega nas też, abyśmy nie prosili nigdy Boga w modłach naszych o rzeczy takie, do pożądaniami których nie przyznawalibyśmy się przed ludźmi, ani nie pożąдали tego, o czem nie chcielibyśmy, aby Bóg wiedział. Są przecież dobra, których pragnienie jest godziwem i S-ty Mateusz uczy nas: „Proście, a będzie wam dane, szukajcie, a znajdziecie, pukajcie, a otworzę wam.” S-ty Jan Ewangelista potwierdza to słowy temi, że to czego żądać będziemy w imie boże otrzymanem zostanie, nie należy nam przecież zakładać rąk leniwie w zaufaniu łaski Boga. Prawa religii Chrystusowej nie nakazują nam również, abyśmy się odwracali od ludzi i ziemskiego tego świata, na którym Bóg żyć nam kazał z celem zapracowania sobie na niebo. „Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli... to modlitwa o osiągnięcie najwyższego dobra, przez które ludzkość uszczęśliwia się i udoskonala zarazem; szlachetnem było działanie na ludzi Platona i Arystotelesa, Seneki i Marka Aureliusza, przecież nie podniosło ono ludzkości tak, jak ta religia miłości, która usuwając prawo „zab za zab, oko za oko” kazała kochać i przebaczać, a czyż nie zawiera się w tem nietylko podniesienie człowieka nad egoizm, ale i uszczęśliwienie go najgłębsze, bo smutnem jest życie tego, kto nosząc w sercu uczucie zawiści i nienawiści, przenika się goryczą tych uczuć.

Cicero nauczał: „Jeżeli to prawdą jest, że tylko człowiek uczciwy może być szczęśliwym i że wszyscy ludzie dobrzy są szczęśliwymi, trzeba nam więc uprawiać coś wyższego niż filozofia, coś świętszego nawet niż enota społeczna.” Było to więc pożądanem podniesienia się do tego stanu, który nakazuje: „Bądźcie doskonałymi, gdyż Ojciec wasz, który jest w Niebiosach, doskonałym jest.” Zaczodzą nam przecież drogę życia rozmaite pokusy i przeszkody, które przecież powinniśmy zwalczyć

i podnieść się po nad nie; religia staje nam tu do pomocy, wykazując, że większa część rzeczy, za którymi się ubiegamy, nie da nam nie, co by było wartością prawdziwą, a zarazem każe nam uwierzyć że człowiek, mieszkaniec ziemi, może sobie przybliżyć Niebiosa. Religia daje nam więc spokój, jakiego nie posiada świat i wyzwala nas też z wielu trudów i zabiegów marnych, które każą nam gonić za cieniem znikającym nam przed oczyma, gdy wyciągamy doń ręce. Niebiosa blizkie są dla każdego ducha ludzkiego, który zdolnym jest podnosić się ku nim na skrzydłach wiary i wdzięczności dla Boga, którego głos przemawia do nas: „Chodźcie tu do mnie wy wszyscy, którzy jesteście obciążeni, a dam wam odpoczynek.“

Trzeba przecież na to wiary prawdziwie głębokiej i religijnej też siłą zdolną obdarzyć nas słodkim spokojem, słodką ufnością w przyszłość. Lilie polne oblekają się pięknosciami, jakiej nie posiada Salomon w chwale swojej, a ptaki które ani orzą, ani sieją, żywi Ojciec Niebieski, czyż więc możemy nie czuć, że ta ziemia, którą zwiemy nieraz padołem płaczu, jest pełną bogactw, danych człowiekowi, aby był szczęśliwym. Ale szczęście to musi on sobie kupić wiarą tą w Boga, która każe mu powtórzyć za Psalmistą: „W Panu położyłem nadzieję moją i nie będę zawiedzionym...“ Śty Paweł naucza, że wszystko staje się dobrem dla tych, którzy kochają Boga, bo miłość ta daje im spokój cichy, oparty na wierze, więc nie dopuszczający trwogi zawodu.

Jak Chrystus powiedział: „Dozwólcie dzieckom przyjść do mnie,“ tak po wszystkie czasy ludzkości Bóg dopuszcza do siebie wszystkich, którzy się do Niego garną, wszystkich, którzy pragną sprawiedliwości i noszą w piersi obok miłości Boga miłość bliźniego. To jest podstawą religii i na innym gruncie jest ona jedynie formą zewnętrzną, która nie ubogaca nam ducha, nie pomaga żyć według praw moralnych, które tworzą drabinę Jakubową, wiodącą z ziemi w Niebiosa.

M. I.

A im więcej los wplótł cierni
W ich niedolę kmiecia—
Tem dziś jaśniej na ich grobach
Owe gwiazdy świecą.

Roman Jungiewicz.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

KLESKA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Dom Baczyńskich jarzył się od światła, wszystkie okna były otwarte, eicha, pogodna noc czerwcową oddychała ciepłem i wonią kwiatów, których balsamiczne zapachy rozchodziły się dokoła i subtelnym aromatem przepełniały powietrze. Drzewa wspaniałego parku niewyraźne kontury kreśliły na tle nieba, bo noc była bezksiężycowa, a mgła, jak muślin lekka, uniosła się ku górze i rozlała się w przestworzu.

Nie było chmur ani obłoków, gwiazd jednak nie mogłeś dostrzedz.

Zrazu rozsiał się po niebie jak krocie tysięcy rozsypanych brylantów, lecz szybko blednąć zaczęły: wchłonęły je opary ziemi przesiąknięte wilgocią, ciepłe, gorące nawet...

Na tle czerwonego światła, które z okien wszystkich, jaskrawą falą wylewało się na zewnątrz, migotały raz w raz sylwetki, w jakichś ruchach szybkich, gwałtownych nieraz.

Ruchy te stosowały się do dźwięków muzyki, która umieszczona w ogromnej sieni, przed drzwiami otwartymi na ścieżaj, różne dźwięki rzucała na salę, gdzie panował wir i zamęt nieopisany.

Brzmiał wale „Na falach dunaju“ grany doskonale przez orkiestrę Nuchima Bryndzy. Polotną melodią rozkoszował się sam kapelmistrz, bo głowę nieco na lewe ramię pochylił, oczy przymknął i ślizgał się smyczkiem po skrzypcach, duszą całą w czarownych dźwiękach tonąc...

Pomiędzy tańczącymi rej wodził Kocio Pomiszewski—królową zaś balu była panna Malwina.

Zawsze piękna, piękna jak marzenie, mówiąc utartym wyrazem—teraz taniec rozkoszny wdzięki jej do granic ostatnich podniósł.

Głębokie, czarne oczy były błyskawicę pełne, korale ust zdawały się palić, rumieńce zalewały się, co chwila gorącą krwią falą. Rzucała się w wir tańca z gorączką jakąś, z namiętnością całą swej bujnej, fantastycznej natury, rzekłbyś, z zapomnieniem się zupełnem. Nie widząc jej, łatwo mogłeś poznać, gdzie była: na nią zwracały się oczy wszystkich, nawet Kocio, strzeżony przez pannę Izabellę, zagapił się nieraz i wpatrzył się, jakby olśniony widokiem niespodziewanym...

Uśmiechał się i Baczyński...

Rad był z tryumfów córki, zmruszało lekko powieki i rozmiłowany w dziewczynie pięknej, niemal z ubóstwieniem patrzył na nią.

Pan Ludomir Baczyński był mężczyzną lat średnich, o rysach wyrazistych, z wyrazem twarzy dumnym, na której znamienne pętno położyła wola żelazna i charakter niedający się niczem ugiąć, pokonać ani przekonać. Może też dla tego, że panna Malwina była żywym obrazem jego duszy, z taką zapamiętałością ją kochał; znając swój niepomohany charakter, pobił ją we wszystkim ukochanej dziewczynie, wiedział zresztą, że wszelkie tłumaczenia nie doprowadzą do niczego, że sam w znacznej mierze przyczynił się do wyrobienia tego charakteru, pozwalając na wszystko, gdy jeszcze dzieckiem była, ciesząc się nawet z jej uporu, który nazywał stałością.

Zresztą on sam innym nie był...

Potępiając córkę, musiałby sam siebie potępić. Nie widząc zaś zła w sobie, nie mógł go dostrzedz w tej, która była promienną gwiazdą jego życia...

Rod Baczyńskich był, jak to mówią, dobrym, szlachetnym rodem. Senatorskich krzesła nie posiadali nigdy, drażkowe kasztelaństwo nawet nie padło żadnemu z nich w udziale, ale zawsze coś o nich słychać było, szczególnie na kresach, kiedy to się czuwało dzień i noc, miało wzrok orli, a spało się na kulbace.

Rabali się i warcholili, a nie mało z dawniejszej krwi i dziś w żyłach płynęło.

Gdy uspokoiło się na świecie — przysiedli i Baczyńscy na roli i gospodarzyć zaczęli. Pomału fortunka rosła, aż wreszcie pan Lubomir bogatym ożenkiem ją zdwoił. Towarzystwie stosunki rozszerzały się, miłość własna coraz bardziej zadowoloną się stawała, duma kazała iść wyżej i sięgać wyżej...

Bogactwo i piękność—to dwie potęgi...

Bogactwo przy nim, piękność przy pannie Malwinie była. Duma zamieniła się w pychę.

Marzył o przyszłości córki, bogatym mężu, ogromnej fortunie i mitrze, co najmniej dziewięcioma świecącej gałkami...

Pani Lubomirowa, jakkolwiek nie zawsze zgadzała się z poglądami męża, ale znając jego charakter gwałtowny i upór nieprzeparty, z pobłażliwym milezieniem zezwalała na wszystko. W pieczętach jednak Malwinki nie dała się wyprzedzić małżonkowi. Kochając córkę nadmiernie, nie czyniła żadnego oporu, choćby dziecku, literalnie, zachęcała się szybki z okna. Opowiadana już Zdziarskiemu przez Czawicza młocka na aksamitach,—była miarą słabości matczynej. Prawda, że powiedziała z uśmiechem mężowi: „Co ty z niej zrobisz, Lubomirze?“ Ale widząc, że ojciec się śmieje, myślała że tem nie nieznaczacem napomnieniem uczyniła zadość obowiązkom matki i nauczycielki—i już żadną wagą nie chciała zasmucać rozbawionego dzieciaka.—Czawicz tylko, który w bliskich, przyjacielskich stosunkach znajdował się z Baczyńskim—szepnął mu pół żartem o złem wychowaniu dziewczyny, ale Baczyński nie zrozumiał wcale uwagi, siebie postawił, jako przykład, — a przecie nie źle mu było na świecie.

— Nie pójdziesz w żadną niewolę, odpowiedział, a jeżeli sama sobie potrafi dać radę w życiu—tem lepiej.

— Obraz mój!—szepnął do siebie, — przytulając pieczęszkę do serca.

Gdyby nie zacna i nieposzlakowana niczem krew Baczyńskich i Tańskich, która zalała się w piękne naczynie, jakim była panna Malwina — nierozsądne pieczęzoty rodziców mogłyby rzeczywiście źle wpłynąć na rozwój moralny dziecka. Ale panna Malwina wyrosła i piękno duszy z pięknosciami ciała w zgodny połączyła akord. Rozum nie dopuszczał zachciankom nad rozsądkiem brać górę, wiedziała już sama czego się strzedz wypada i co jest śmiesznością, której uniknąć potrzeba. Lecz wiedziała też dobrze, że czego by zapragnęła całym sercem i duszą, niktby jej nie mógł stanąć oporem.

Wtedy by: „tak chcę...“ byłoby ostatniem jej sławem.

Wiedział o tem i Baczyński i nikt lepiej nad niego nie rozumiał znaczenia tego wyrazu.

Czy miał zresztą co do zarzucenia córce?

Nie!

W przeciwnym razie nie wahałby się ze swoim stanowczem: Nie chcę! wystąpić.

Ale ta myśl była dalej od niego, niż ziemia od słońca.

W drzwiach prowadzących z salonu do sali balowej stał uśmiechnięty, próżen wszelkiej złej myśli i patrzył na wir tańca, który szumiącą kaskadą światła, grą przeróżnych kolorów, falą wzburzonego morza—szalał tuż przed nim i zdawało się, że unosi wszystkich i wszystko. Ileć piękna rączka Malwiny spoczęła na ramieniu hrabiego Izidora, ileć kroć duże, błękitne, senne oczy Zdziarskiego spotkały się z ognistym spojrzeniem pięknej dziewczyny, tyle razy promienniejszy uśmiech poruszył Baczyńskiego usta a dumne, wysokie czoło radością jaśniało.

O Baczyńskim można było powiedzieć: znać pana po cholewach. Wyraz twarzy i jej piękność, wzrost, któremu w okolicy całej nikt nie był równy, z wyjątkiem tylko Krzysztofa Maleckiego, ruchy spokoj-

Na dzień zaduszny.

(Z podania ludowego).

Na ogólnem cmentarzysku

Grobów szereg długi,
Zgodnie leżą obok siebie
Panowie i sługi.
I bogacza i biednego
Jedna ziemia kryje,
Jeden rydel cmentarnika
Mogily im ryje.
Bogaczowi i biednemu
Pieśń swą wicher śpiewa,
Jednakowo też dla obu
Szumią stare drzewa.
Na bogacza dumnym grobie
Napis wyłaczany,
U biedaka na mogile
Krzyż z drzewa ciosany.
U bogacza wonne kwiaty
Sadzi dłoń troskliwa,
Na mogile ubogiego
Ciernie i pokrzywa.
Gdy na grobach u bogaczy
Płonie lamp tysiące,
Nad mogiłą ubogiego
Świecą gwiazdy drżące.
A świeci ich tyle, tyle,
Nie do przeliczenia—
Bo te wszystkie łyzy wylane
Stwórca w gwiazdy zmienia.

ne a wykwintne i swobodne, umiejętność przystosowania się do ludzi pochodzących z różnych warstw społeczeństwa—to wszystko nadawało mu tę cechę, którą w potocznej mowie—pańskością nazywają.

Malwina była podobna do ojca—barwą włosów tylko odróżniała się, których czarność od matki wzięła, resztę zaś zawdzięczała rodzicowi. Baczynskiego włosy były koloru niepolerowanego orzecha, strzyżone krótko ale nie przy głowie samej; wąsy miał trochę roztrzepane, bo się układać nie chciały pomimo użycia różnych fiksaturów i przypiekania, gdy więc kilkakrotnie odmówiły mu posłuszeństwa, Baczynski szepnął z uśmiechem:

— Moje wąsy!

I próżnej walce dał za wygraną.

Postać to była prawdziwie typowa, z poczerniałych obrazów zesła: dać jej tylko strój inny i buzdylan do ręki.

Krom panny Malwiny, Baczynscy mieli jeszcze dzieci troje. Najmłodszym był synek, który nosił imię dziadowskie Jana, reszta dziewczęta. Ale że ta gromadka nie odrosła jeszcze od ziemi, nie miała więc nic do roboty na sali balowej i spała gdzieś w oddalonych pokojach na pieluchach miękkich, daleka wszelkich pragnień i żądz tego świata.

Muzyka brzmiała, walc szybkim, nieprzerwanem kółem się toczył i obojętnych nawet pociągał w wir swój szaleńczy. Miss Mary, której powaga lat pięćdziesięciu nie dozwalała mieszać się z rozbawionym tłumem, jakkolwiek rude swoje warkocze spięła różą kremową i kościaste obnażyła ramiona, chodziła sztywnie, zimna i obojętna na wszystko, co ją otaczało, szeleszcząc z lekka jedwabiem barwy pozłocistej i zatrzymując się co chwila, by przez szyldkretową lornetkę przyjrzeć się swojej ukochanej lady—poważna nawet miss Mary znalazła się nagle w ramionach Kocia Pomiszewskiego i ukwieconą głowę pochylając na jego ramię, puściła się w wir zawrotny.

Huczne brawo rozległo się ze wszystkich kątów sali.

— Schocking!—szepnęła do siebie miss—

Ale nie chcąc postradać dobrej okazji pochwalenia się umiejętnością swoją,—może ją zresztą wspomnienia jakie uniosły—zdwoiła tempo i już prawie za szyję objawszy swojego tancerza, w kółko a w kółko, pomykała wciąż chyżej a chyżej, licząc dość głośno takty walca.

— *One, two, three, one, two, three*, — powtarzała coraz bardziej melancholijnym głosem.

Gdy huczne brawo zabrzmiało i tańczący zauważyli córę Albionu w objęciach rozhukanego Kocia—wstrzymały się wszystkie pary, tak nagle, jakby na rozkaz z góry dany.

W tej chwili właśnie pan Aleksy Chostyniecki podjechał pod ganek pałacowy.

— A, kawalery!—mruknął,—pewnie już do kolacyi wzięli się i wódkę piją—a mówili, że beze mnie na kieliszek nie popatrzą.

Wszedł cicho i stanął w progu sali—

— To taki bal?—odezwał się nagle, widząc tańczących tylko Kocia i miss.

Wszyscy się zwrócili ku drzwiom i jednocześnie śmiech zabrzmiął.

Miss Mary przerwała w pół taktu, nieznając przyczyny śmiechu; już: „schocking“ na ustach miała, gdy pojawienie się Chostynieckiego wytłómaczyło jej wszystko. Panna Malwina, która siedziała na drugim końcu salonu zajęta rozmową z hrabią Izydorem, przysiadującym nie na zarty jej fałdów—spojrząwszy pana Aleksę, zerwała się, jak ptaszek spłoszony nagle—i błyskawicznie prześlizgnąwszy się wzdłuż gładkiej i lśniącej jak tafla lodu posadzki—wpadła niemal w ramiona Chostyny.

— Co ja widzę—to pan, pan, pan?—powtórzyła trzykrotnie, serdecznym uściskiem dłoni witając przybyłego.

— Tego to już nie spodziewał się — zawołał rozrzucony przyjacielskim powitaniem Aleksy. Ujął obie ręczki dziewczęcia i całować bez miłosierdzia zaczął.

— Czego pan się niespodziewałeś dobry, kochany panie Aleksy? — pytała panna Malwina, pociągając go za sobą.

— Takiego powitańa, takich słów serdesznych, od których, prosto można rozum utracić i być kontentnym z tej utraty.

Pan Lubomir, stojący w drzwiach przeciwnych, poznał przybysza i mówiąc: ho—ho—ho! — zbliżał się ku niemu z rozwartymi ramionami.

— Baczynski!—zawołał Aleksy.

I zaczął serdecznie witać gospodarza domu.

— Kiedy? z kąd? — pytał ojciec panny Malwiny, kładąc rękę na ramieniu Chostynieckiego, który ledwie głową sięgał Baczynskiego ramion.

— To kawalery dotrzymali sekretu?—zaśmiał się Chostyna.

Otoczyli wszyscy pana Aleksę, i zawiązała się jedna z tych rozmów, w której nie wiadomo kto pyta, na co dać odpowiedź i kto z kim rozmawia. Dowiedział się tylko Baczynski, że kawalery dochowali sekretu, że Aleksy zaledwie wrócił z dalekiej podróży i do swojej Chostynówki zajechał, jak dowiedziawszy się o balu w Jarnej, zaraz się wybrał znów w drogę, ażeby niespodziewanym przybyciem swoim zrobić, nieoczekującym go wcale, siurpryzę.

— I zrobił—powtarzał śmiejąc się, ale sam sobie największą, bo co posłyszał od panny Malwiny, to ważniejsze dla mnie, niż królestwo tureckie.

— Mazur!—zakomenderował Kocio.

Muzyka znak dała—pary ruszyły.

Malwina zauważyła, że hrabia zbliża się do niej. Drugi to z rzędu mazur ze Zdziarskim miał być tańczony.

Zwróciła się szybko i poszukawszy wzrokiem Angielkę podbiegła do niej:

— *My dear madam*, —szepnęła, — wyręcz mnie i przetańcz z hrabią mazura.

— Ja?—odezwała się miss Mary.

— Yes, yes—ty... Tak ładnie tańczysz.

Pochwała Malwiny mile polectała ucho skromnej miss.

Hrabia się zbliżył.

— Pani?—rzekł składając ukłon salonowy panie Malwinie.

Malwina wskazała na towarzyszkę.

Hrabia nie zrozumiał ruchu.

— W zastępstwie—powiedziała panna Malwina, i uśmiechnąwszy się, porzuciła na przeciw siebie stojącą w pewnem pomieszczeniu parę, i pobięła do Chostynieckiego.

Hrabia skrzywił się nieznacznie.

— Madame!

Sklonił się.

— Sir!—odpowiedziała mu z wdziękiem—

— Wszystkie pary!...—wrzasnął Kocio.

Ruszone.

W mazurze miss Mary straciła zupełnie swoją sztywność, balansowała się na lewo, to na prawo, a że i hrabia lubował się w tych ruchach falistych, co chwila więc głowy tańczących odbiegały od siebie, to znów się zbliżały, co sprawiało nadzwyczaj komiczne wrażenie. Jeden Chostyniecki tylko nie dziwił się huśtaniom Angielki.

— Nie śmiecie się, nie śmiecie się—powtarzał.—Anglja króluje na morzu—wiadomo! to przyzwyczajona jest do hojdania się.

— Panie Aleksy...—odezwał się tuż za nim srebrzysty głos panny Malwiny. — Nie widziałam tak dawno pana, że wyrzekłam się ulubionego przez siebie mazura, ażeby mózż choć chwileczkę porozmawiać z panem.

Chostyna zwrócił się.

— Boże ty mój a co ja takiego zrobił, że ty mnie świętym czynisz—zawołał.

Klasnął w białą rączkę pannę Baczynską i wyszedł z nią do przyległego pokoju ochłodzanego sztucznym wodotryskiem, który brylantowym słupem, niemal do samego sufitu dostawał. Wszystkie ściany chowały się za rozłożystymi liśćmi palm daktylowych i fikusów, pokój o wypukłym sklepieniu cały tonął w zieloności, po środku zwieszała się mleczna bania z ukrytem białem światłem wewnątrz, rzucając dokoła jakąś księżycową poświatę. Po dusznej atmosferze balowej sali, szeroko piers tu odetchnąć mogła.

— Siadaj pan i spowiadaj się, — zaczęła panna Malwina.

— Przed takim księdzem to można i do śmiertelnego grzechu z przyjemnością się przyznać.

— A masz go pan?

— Nie—to tylko się gada.

Zaczęła się spowiadać.

Podczas, gdy młodzież hulała a Pomiszewski siarczyste hołupce krzesał, gdy miss Mary naksztalt

okrętu unosiła się w takt skocznego mazura a hrabia bezwiednie jej sekundował—w dalszych pokojach jarnieńskiego pałacu, grono poważnych ludzi zasiadło do zielonego stolika.

Do gry nienależał Baczynski i Czawicz.

Pierwszemu niepozwalały na tę rozrywkę obowiązki gospodarza, Czawicz zaś kart nie lubił i w braku chyba partnera, uproszony przez nieumiejących nieczem innem czasu zabić graczy przegrywał parę robrów, brał lub zgarniał pieniądze, ziewając zawsze.

Teraz tej obawy nie było—kółko karciarzy zebrało się w doskonałym komplecie.

Czawicz usunął się do gabinetu Baczynskiego i zapalwszy cygaro usiadł w fotelu, dając folę swym myślom.

Po chwili wszedł Baczynski.

— Nie grasz?

— Jak prawie zawsze—

Lubomir usiadł naprzeciw Bogumił.

— Cóż tak samotnie dumasz?

— Wiedziałem, że mnie poszukasz.

— Czy myślisz, że mam ci coś do powiedzenia?

— Nie.

— Więc?

— Znam gospodarskie twoje oko, które widzi wszystko i dostrzeże brak każdy.

— Rzeczywiście — spostrzegłem, że ciebie nie było.

— Tańczą—mówił Bogumił.

— Do upadłego—

— A panna Malwina z Izydorem rej wodzi.

— Tym razem w zastępstwie swoim dała mi miss Mary.

— A sama?

— Spowiada Chostynieckiego.

— Biedny Izydorek!—zaśmiał się Czawicz.

— Dla czego?—zapytał Baczynski.

— Uważałem, że na krok jeden od twojej córki nie odstępowałem.

Baczynski poważnie poruszył głową.

— Rzeczywiście—rzekł powoli.

— Czy nie miałbyś nie przeciwko niemu, gdyby względem panny Malwiny zmanifestował jakieś poważniejsze zamiary?

— W tym wypadku grałaby główną rolę jej wola.

— O tem wiem dobrze. Ale—ty?...

— Ja?—rzekł powoli Baczynski.

Marzeniem jego był związek Malwiny ze Zdziarskim, który z rodu i mienia do pierwszej w kraju arystokracji należał. Ale nie chciał się zdradzić myślami, tem mniej się narzucać.

Za dumny był i za rozumny.

Pytanie jednak Czawicza, z którym hrabia w bliskich stosunkach przyjaźni zostawał, dało coś mu do myślenia.

Uśmiechnął się wewnętrznie, lecz obojętną dał odpowiedź.

— Niedosć go jeszcze znam—rzucił pół szeptem.

— Ja znam dobrze—rzekł Czawicz.

— No—i jaki to człowiek?...—spytał Baczynski, końcem nożyka przecinając cygaro.

Czawicz wskazującym palcem zrobił w powietrzu kółko podłużne.

Baczynski zaśmiał się—

— Kto dzisiaj innym być może?—rzucił.

— Dziękuję—rzekł Czawicz.

— No—nie mówię o tobie, ale tamci—panowie! Machnął ręką—

Bogumił po Baczynskim nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Znał dobrze jego zachcianki pańskie i arystokratyczne usposobienie. Nieraz zapatrzony w piękną postać ukochanego dziecięcia, kładł dłoń swą potężną na ramieniu przyjaciela i mówił:

— Czawicz! czy nie jest godna i królewskiego syna?...

Gdy z poczwarki piękny motyl wyleciał—Baczynski rozejrzał się po świecie, wyjechał z żoną i córką do Warszawy, Krakowa, Wiednia i Berlina po nowe znajomości i stosunki. Nie grała tu żadnej roli dostatnia ale nie magnacka fortuna pana Lubomira, tem mniej nazwisko, o którym mało słyszano. Czego majątek ni ród uczynić nie jest wstanie—tego dokonywa powab.

A panna Malwina nad miarę go miała.

Od tej pierwszej podróży, odbytej przed laty parę, datuje się zażyłość Baczynskiego i z Izydorem

Zdziarskim i wielu innymi, którzy dziś napełnili jego salony. Czawiez rozumiał to wszystko i dlatego rzekł hrabiemu, że na Baczyńskiego liczyć może. Dziś obojętne odpowiedzi Lubomira zbiły go trochę z tropu, lecz miła zarazem niespodzianką były. Niepytany zaczął Baczyńskiemu sam tłumaczyć znaczenie nakreślonego przed chwilą kółka w powietrzu. Pana Bogumiła żadne błyskotki osłepić nie mogły: za poważnie patrzył na świat i stosunki miejscowe, ażeby mu się zera takie mogły podobać. Nie bażantów chciał widzieć, lecz coś pośredniego między łabędziem a orłem. Baczyński cenil Czawieza dla jego obywatelskich zasług, duszy czystej i miłości dla wielkiego obszaru ziemi. Nie mógł mu nie przyznać słuszności, lecz nie chciał przypuszczać ażeby zero nie mogło uszczęśliwić panny Malwiny.

Bo jaki zachodził związek między niem a pożyciem małżeńskim?

Wybryki młodości pana Izydora?...

E! na to się ręką rusza —

Malwinie potrzeba salonów, hołdów, upojenia, czaru—to stanowi prawdziwe szczęście dla kobiety—a on nie innego nie chce, jak szczęścia dla niej.

Rozumując tak, zapominał o miłości własnej, która nie mała rolę, w tej niezbyt podniosłej filozofii, grała.

Czawiez mówił, Baczyński słuchał.

Uczuć swoich nie zdradził najłżejszem drgnięciem powiek, nawet gdy Bogumił wspominał o stałych zamiarach pana Izydora, starania się o rękę Malwiny, z jakimi ten przed Czawiezem nie taił się wcale—Baczyński nie poruszył się, nie rzucił żadnego pytania, nie zażądał żadnej odpowiedzi. Wszystko zdawało się mu być obojętnem zupełnie.

— Przejdźmy do salonu—rzekł zimno, gdy Czawiez w krótkich ale i wiele mówiących zarysach skończył opowiadać o przebiegu życia hrabiego Izydora.

Czy miał ku temu prawo?

Nie zaprzeczone —

Łączył go dobry stosunek dawnej znajomości ze Zdziarskim, bliższy związek przyjaźni kojarzyły Baczyńskim. Zresztą Czawiez był pewny, że zamiarom hrabiego Baczyński nie sprzeciwi się w niczem. Niech więc wie, czego się ma spodziewać od przyszłego męża swej córki.

W opowiadaniu Czawieza nie było nic zresztą co by ubliżało dobrej sławie hrabiego Izydora; bo w pojęciu ogólnem świata, miłości zakazane, fiutki i ziutki, nie spoczywają czarną plamą na rodzie męzkim. A najwięcej tych plamek miał na sobie pan Izydor. Innego tylko zdania był Czawiez i żał mu było pięknej, świeżej, bogato rozwiniętej we wszystkie wdzięki róży, widzieć w objęciu przekwitłego tulipana. Na zapytanie rzucone przez Baczyńskiego: No—i jaki to człowiek? Czawiez odpowiedział dokładnym obrazem, nie przesadzając w ciemnych ani jaskrawych barwach. Teraz już wszystko spoczywało w rozumie Baczyńskiego, i przenikliwości kobiecej panny Malwiny.

Ale Baczyński był sfinksem.

Zdawało się nawet Czawiezowi, że gdy się dowiedział o zamiarach hrabiego Izydora, stał się dla niego mniej uprzedzającym, niż to było chwilę temu. Spotężniał tylko wyraz dumy na tej pięknej, posągowej niemal twarzy, ale ta ledwo dostrzeżona zmiana, nie wyjaśniała nie panu Bogumiłowi, który podczas wieczoru i pannę Malwinę bacznie śledził okiem i zdało mu się, że mile przyjmowała zalecanki hrabiego i wyróżniała go z pośród innych tancerzy.

Tymczasem Kocio Pomiszewski wielki *rond* uformował, a panna Malwina, zapomniawszy zupełnie o balu, zajęła się Chostyną.

— Więc pan do nas prosto, nie odpoczywając nawet po swojej uciążliwej podróży? Ach! jaki pan dobry, panie Aleksy!—mówiła.

— I co to za dobroć, kiedy sobie tylko przyjemność zrobił. Ale powiem praudd, co odpocząć, niezupełnie odpoczął, ale że do was nie od razu zjechał, to także praudd. I to może być mój grzech śmiertelny, o jakim na początku wspominało się.

— I dokąd pan zajeżdżał, panie Aleksy?

— Do Maleckich.

— Kto to są ci Maleccy?

— To panna Malwina nie wie?

Panna Baczyńska poruszyła głowę.

— Lepszy szlachciec ode mnie, a mój dawny przyjaciel, to ja do niego nasamprzód zjechał, nie dla tego, ażeby u was być nie chciał, tylko dlatego, że na takim balu, gdzie grają i tańczą, to nie grający i nie tańczący potrzebny jest, jak mysz w maku—ot co!

— Pan Aleksy nie potrzebny — z rodzajem wymówki rzuciła panna Malwina.

— A na co?

— I to mówi tak, dobry przyjaciel?

— Co ja wasz, to wszystkim świętym wiadomo, a jeżeli zgrzyszył, to i przyznał się do grzechu. Za to teraz dość, że ja was wszystkich widzę w zdrowiu i pomyślności. A teraz moja królowa niechaj mnie o sobie coś powie.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Jakto—nie?—zapytał pan Aleksy.

— Niestety!—westchnęła.

— I miłości żadnej nima?

Panna Malwina zaśmiała się srebrzyście.

— A cóż wasze kawalery robili?

— Ot, widzisz, panie Aleksy, dla czego ciebie tak powitałam serdecznie. Gdyby mnie kto zapytał o tobie, umiałabym powiedzieć kim ty jesteś, coś zrobił, jaką masz głowę i serce. Tym czasem o wszystkich tych panach, prawie o wszystkich, bo o takim Czawiezu nie mówię—nie, ale to nie powiedziałbym nie umiała. Nie myśl panie Aleksy, że jestem stworzona na obraz i podobieństwo tej większości pańien na wydaniu, które o niczem innem, jak tylko o zamążpójściu, nie myślą. Może ta myśl i mnie nie jest obcą zupełnie, ale czy sądzisz, że jabym się wydała za pierwszego lepszego, który, sam nie wiedząc, co z sobą ma zrobić, wspaniałomyślnie ofiarowuje mi swą rękę?

Wiem dobrze, że we mnie niespokojny jakiś djabełek siedzi, ale ten dobry djabełek, który pcha do czynów, do poświęceń, do jakiejś roboty wreszcie, która powinna być każdego człowieka udziałem.

Patrzysz zdziwiony i myślisz skąd wzięły się te słowa w ustach rozpieszczonej czy rozpuszczonej dziewczyny?

Powiem ci otwarcie—zawdzięczam bardzo wiele, ale to bardzo wiele miss Mary. A i do tego Bóg mi dał trochę rozumu, więcej serca, a jeszcze więcej przenikliwości. Zresztą coś we mnie kipi, pali się—a czasem tak dziwaczne nawet myśli do głowy przychodzą, że uśmiać się z nich muszę.

— I jakie to myśli?—zapytał Chostyniecki.

— Zazdroszczę czasem nędzarzom, którzy zdobywają kawałek chleba z nadmiernym wysiłkiem swych rąk i z nieustanną trwogą o dzień jutrzejszy. Czy to nie dziwactwo, powiedz sam, panie Aleksy?

— Nie inaczej,—potwierdził Chostyna.

— To też czasami przesadzam w swoich marzeniach, i wpadam często w ostateczności. Ale przecie są ludzie, którzy pracują dla jakiejś idei, i często nieznani, poniewierani często, nie schodzą z raz obranej drogi—i gdy nadejdzie dzień ich tryumfu, gdy zmierzają okiem przepaść przebytą, przeszkody usunięte, niechęci złamane, cały ogrom trudów, woli i pracy—czy ta jedna chwila szczęścia i dumy, nie wynagradza wszystkich lat ubiegłych męczarni?... — A no to tak—wiadomo!

— Nie wszystkim—dokończyła panna Malwina...

— Bo gdyby wszyscy nie tylko tak myśleli, ale i robili, to czy byłoby tak źle jak jest u nas? — Ale cóż zrobić, kiedy już takie jest przykazanie, co kilka głów tylko myśli za wszystkie głowy, a czasem serce jedne, kochając mocniej niż sto serc, za te sto robi i nas wszystkich naprzód posuwa. Ja wiem, co gdzie, a gdzie to u nas powinno być inaczej; bo niby stoimy u drzwi samych na chwiejącym się progu, a takiego pchnąć łatwo i wyrzucić na dwór.

— Wyborny z ciebie malarz, panie Aleksy—zaśmiała się Malwina...

— Aha—malarz! odezwał się nagle Chostyniecki. — Jakże tam z malowaniem idzie? Musiał moja królowa dużo ładności namalować, które obaczyć warto i pochwalić godzi się...

Panna Malwina podniosła się szybko z siedzenia...

— Chodź pan do mojej pracowni. — Tak—mam tam jeden obrazek, który doprawdy, że mi się udał doskonale...

Chostyniecki podał rękę pięknej dziewczynie i omijając salę balową i inne pokoje napełnione

odpoczywającymi gośćmi — zakrętami korytarzów poszedł do bardzo dobrze znajomej sobie pracowni panny Malwiny...

Pokój ten znajdował się na samym końcu domu, dwa duże okna wychodziły na północ.

Panował w nim prawdziwie artystyczny nieład...

Na ścianie i na podłodze wisały i leżały palety ze świeżo nabranymi farbami, mnóstwo szkiców robionych pędzlem i ołówkiem, leżało na stole, to wołało się po kątach. Kilka bardzo ładnych biustów gipsowych wylazło z ogromnej masy zieleni jaką przepełniony był pokój, na trzech stolugach stały tylko co zaczęte obrazy, krajobrazy właściwie, malowane już dość wprawną ręką.—Pracownia to panny Malwiny, miejsce najprzyjemniejsze dla niej, prawdziwa jej „świątynia dumania“ oświetlona była jaskrawo dużą lampą zwieszającą się z sufitu, by uprzywilejowani goście panny Baczyńskiej, do których należał Czawiez i paru jeszcze panów i pań, znających się dość dobrze na malarstwie — mogli tu przyjść i zadość estetycznemu smakowi uczynić. Zresztą nigdzie lepiej nie można było odpocząć, jak w tem zaciszu, położonem na samym końcu pałacu. Zawieszona lampa blask pełny białego światła rzucała na obraz duży, stojący na jednej ze stalug, do której właśnie panna Malwina doprowadziła Chostynieckiego...

— Malecki!—krzyknął nagle Aleksy.

Pewne zadowolenie odbiło się na twarzy malarki.

— Czy podobny?—spytała.

— Jak żywy, doprawdy, że jak żywy. A skąd on się wziął, u mojej pani? — pytał z ciekawioną Chostyna podnosząc brwi do góry.

— Malecki, — odezwała się co chwili panna Baczyńska.—Czy nie ten, do którego pan zjechałeś, do nas jadąc?...

— A on sam. Strach jaki podobny!

— Na imię mu Krzysztof—prawda panie Aleksy?

Chostyna potwierdził.

— Prawda!—szepnęła Malwina, jakby coś przypominając sobie. — Gdy ten obraz wykończyłam, ojciec te same, co pan, nazwisko wymówił. Malecki—śliczny typ,—dodała po chwili.

— Ale śliczniejszy człowiek jeszcze... — dokończył Aleksy.

— Piękna dusza musi w takim ciele mieszkać...

— A co by to moja królowa rzekła, gdyby Anderka zobaczyła?

— Kto to taki Anderk?

— To syn Maleckiego, Andrzej nazywa się, ale jego Anderkiem woła ojciec i ja także.

— Uboga, prosta szlachta — rzuciła od niechcenia panna Malwina.

— Ale ludzie za to, to moje uszanowanie!

— Czy choć czytać umieją?—spytała panna Baczyńska.

Chostyna spojrział na mówiącą.

— To wy nie nie wiecie, co u was pod bokiem się dzieje?

— Albo co, panie Aleksy?

— Krzysztof prosty szlachciec, choć na książkę czyta i na papierze piórem, co chce wypisze—ale Anderk to całkiem co innego.

Panna Malwina wpatrywała się w obraz, z którego ram siwa, poważna, z poprzeczną blizną na czole postać starego Krzysztofa wychodziła ku niej.

— Powiedz mi pan coś o Maleckich,—odezwała się, nie spuszczać oczu z obrazu.

Chostynieckiemu nie trzeba było dwa razy powtarzać. W wymownych ale prostych słowach opisał żywot pana Krzysztofa, a gdy doszedł do pewnej epoki jego życia, pamiętnej jeszcze przez wielu przeszłości, panna Malwina zwróciła się do opowiadającego i zaczęła z uwagą go słuchać.

— Ten Malecki?—spytała.

— A on sam, jakto go królowa moja na obrazie widzi. Sam prosty i nieuczony człowiek, ale chciał, co by syn jego inny był i miał nauki więcej i rozumiał różne rzeczy i umiał innym to wszystko wytłumaczyć. Po kilku latach zobaczył ja Andrzeja i nie poznał. Rozum jest i nauka niepoślednia. Ale ja szczyro prawdę, wam królowo moja powiem, że mi się żal zrobiło jego, bo myślał ja sobie, co on się zmarnuje pomiędzy prostymi ludźmi, albo zamknie się sam w swoim wnętrzu i smutek go stoczy, jak robak choćby drzewo najzdrowsze. Żal nawet ja miał do Krzysztofa, że jemu naukę do głowy włożył i posadził na zagonie, między innymi niż on

już ludźmi. Kiedy ja i był u Maleckich, to obserwował Andrzeja, ale tego spodziewanego smutku nie zobaczył. Nie może być—coby on, nie czuł położenia swojego—ja tak myślał—aż nie wytrzymał i zapytał.

— I co na to odpowiedział pan Andrzej?

— Ja tak kształtnie nie powiem, jak to on uformował—ale przyznał mi się, co zrazu smutno było, bo niby był jak obcy pomiędzy swoimi. Ale stary Krzysztof, ten, co na was z obrazu patrzy—powiedział jemu przypowieść o polu nieuprawnem—i pokazał te pole i jaka robota jego czeka i dla czego ta robota. Anderek zrozumiał.

Panna Baczyńska poruszyła się.

— Nie kończ pan—ja koniec dopowiem!

Wspaniały był finał—

Mówiła z błyskawicą w oczach, z płonącymi gorączkowo rumieńcami, rozsnuwając niedopowiedziane przez pana Aleksego myśli.

— To—to—to!—powtarzał Chostyniecki.

Bal się miał ku końcowi, *cadrele monstre* prowadzony przez Kocia Pomiszewskiego, nużył okrutnie hrabiego Izidora, który błądy, wycieńczony nocą bezsennością, ledwie włóczył nogami. Tańczył jednak z panną Malwiną, więc musiał dotrzymać jej placu, gdy wreszcie po skończonym kadrylu, rzucił się na otomanę w cieniu palm stojącą, zdawał się być męczennikiem, który przeszedł przez wszystkie koła tortury.

— Czy pani nie czuje się znużoną? — przytykając lekko powieki, zapytał wachlującą się pannę Malwinę.

— Ja?—odpowiedziała. — Przeciwnie, czuje się więcej podnieconą, niż byłam na początku balu.

— A ja nie—odpowiedział hrabia.

— Podczas szalonej galopady przyszła mi nawet pewna myśl do głowy.

— Jaka—pani?

— Wspomniał coś pan Czawicz, że pan u nas zabawił dni kilka?

— Mam ten zamiar — ledwo oddychając dawał odpowiedzi Zdziarski.

— To bardzo dobrze. Będziemy znów wycieczki robili konno.

— Z całą przyjemnością —

— Ale coś panu chce w tej chwili zaproponować. Czy uczynisz pan, to dla mnie?

— Wszystko —

— Każę osiodłać konie i na powitanie wschodzącego słońca, pełnym galopem do Sokolej udamy się Skały. Dobrze?

Hrabia przeraził się projektu.

— Malwinko!—tonem uwagi odezwał się tuż za nią ojciec.—Nie puściłem hrabiego, ażeby się wywczasował, a tobie szalone myśli do głowy przychodzą.

— Zobaczyć wschód słońca?—spytała.

— Ztąd można—odpowiedział Baczyński.

— Z tej dolinki?—rzuciła panna Malwina.—Ach! my wszystkie wschody słońca z dolinek tylko widzimy.

Odeszła.

Rozjechali się wszyscy—jeden hrabia pozostał.

Po chwili spał cały dwór jarneński, tylko panna Malwina w pracowni swojej długo patrzyła na obraz Krzysztofa Maleckiego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z wrażeń turysty.

II.

Ktokolwiek błądzi po zaczarowanym szlaku miast nadreńskich, tego, wcześniej czy później, muszą bogowie przywieść do bram Wiesbaden'u. Castel, ze wspaniałym, potężnym mostem urągającym sile, z jaką Men przelewa wody swe do nurtów Renu, starożytna Moguncya, z powagą historycznych tradycji, z wielką fortecą, osłaniającą murami swymi: pomniki sztuki i odwieczne zabytki, sięgające rzym-

skich czasów Druzus'a, a dalej, nad błękitną wstęgą Renu rzucony, olbrzymi Biebrich, zamek książąt Nassau'skich, i oto stajemy u stóp „perły Taunus'u“.

Bo „perła Taunus'u“ nazwali Niemcy Wiesbaden, którego źródła, od czasów rzymskich również, złoto im zewsząd niesły. Dość jest zwiedzić muzeum starożytności, założone przy Wilhelmstrasse, przez *Verein für nassauische Altertumskunde und Geschichtsforschung*, aby się przekonać, iż osada ta, małeńka niegdyś, przez Cezarów wśród lasów germańskich założona, musiała posiadać talizman cudowny, skoro niszczone i budowane napowrót, potrafiła przetrzymać wszystkie walki Franków i Allemanów, odradzając się ciągle, jak Feniks z popiołów, by co raz świetniej rozwijać się i wzbogacać. Talizmanem tym były cudotwórcze źródła Wiesbaden'u... i później ruleta, trwająca tu przez długie lata a zniesiona dopiero w 1872 r. Na krwi, przez nią wytaczanej, wyrosło istne miasto pałaców, rywalizujące śmiało z najpierwszymi miejscami kuracyjnemi Europy. Gdzie się tu kryja mniej zamożni, gdzie się gnieźdzą ubodzy—nie wiem. Zjeżdżający bowiem Wiesbaden we wszystkich kierunkach, widziałem tylko: mniejsze lub większe pałace. Tu kosztowna, artystyczna willa, załotnie wśród zieleni ukryta, tam potężna rezydencya księcia krwi lub księcia finansów; wszystko to zaś monumentalne, bogactwem zadziwiające: Całe też miasto, pominąwszy część starożytną, wygląda jak świeżo z pod ziemi wyrosłe. Zdawałoby się, że ręka jakiegoś nababa dźwignęła je w ciągu lat kilku, nadając nową dzielnicę ton jednolity a zbytkiem uderzający.

Nababem tym są chorzy, są cudzoziemcy, którzy *stu tysięcznym tłumem* przewijają się corocznie przez Wiesbaden.

Gdyby z tych 100,000 gości, każdy, żyjąc najskromniej, zostawił tu jedynie 500 marek, co mało jest do prawdy podobnem, to i tak przywoziliby oni miastu co kilka miesięcy pięćdziesiąt milionów marek. Czy w obec tego można się dziwić, że Wiesbaden, w przeciągu lat ostatnich zmienił fizjonomię swą do niepoznania?

Od załotnej, małeńkiej willi, na której widnieje charakterystyczny napis: *Klein, aber mein*, do rezydencji wielkoksiażęcych, wszędzie uderza, komfort, wykwint, wzorowa czystość oraz chwytająca za serce masa bujnej zieleni. Cała nowa dzielnica tonie w jej zwojach przepysznych, nadzwyczajnie bogatych. Śnać grunt jest tu wyjątkowo dla roślinności podatnym.

Ponieważ losy uchroniły mnie dotąd od używania wód jakiegokolwiek, uwagi więc nad skutecznością źródeł tutejszych muszę pozostawić medycynie, lub—chorym. Co do mnie, jako profan, pozwalał sobie nadmienić tylko, iż jedyny to szprudel, który się daje pić bez wstrętu. Znacznie lepszy niż w Karlsbadzie lub Nauheimie ma on smak gorącego, lekkiego a trochę słonego rosołu. Wyobrażam sobie, iż spacerując wśród klombów róż lub pod kolumnadą *Kochbrunnen* i gawędząc w miłym, bardzo miłym towarzystwie, można uważać szprudel tutejszy za weale niezłe śniadanie.

Zresztą, przykrości kuracyjne wynagradza otoczenie, na wszelkie gusta obliczone. Tu, w nowym gotyckim ratuszu, wspaniała, staroniemiecka *Bierhalle*, o ścianach pokrytych charakterystycznymi freskami Schlitt'a i Koegler'a, o napisach, mogących zdjąć troskę z najbardziej zachmurzonego czoła. A wyżej, zbiory, galerie, muzeum. Nieopodal wreszcie imponuje gmach wspaniały, kosztem milionów w stylu odrodzenia wzniesiony. To teatr nowy a tak piękny, iż mogłaby go pozazdrościć Wiesbaden'owi, nie jedna ludna stolica. Do lewego jego skrzydła tuli się Kurhaus, stara, skromna na pozór, siedziba rulety. Wewnętrzne tylko urządzenie wskazuje jakie hołdy składano tu złotemu cielcowi. Okruchy złota tego uwidoczniają się jeszcze we wspaniałym urządzeniu kurhaus'u; czem zaś będzie nowy, na który trzy miliony marek przeznaczono, zobaczymy za lat parę. W każdym razie, Wiesbaden świątynię tę, nie grze hazardowej, lecz gościom kąpielowym poświęca, obiecuje zaś uczynić z niej cacko, jakiego dotąd inne miejsca kuracyjne nie posiadają.

Piękny Wiesbaden przykuwa jednak dopóty tylko, dopóki się jest na dole, w mieście. Jedna niewinna wycieczka koleją zębatą na szczyt Nero-

berg'u, a czar pryska odrazu. Gdy bowiem oko twoje pobiegnie w dal, gdy zatrzyma się na licznych wsiach i miasteczkach rozrzuconych nad szeroką wstęgą Renu, gdy obejmie to morze zieleni i błękitów, wtedy nie już prócz choroby, nie zdoła cię przykuć do miejsca. Wobec rozległego horyzontu, skąpanego w promieniach słonecznych, najpyszniejsze budowle wydają ci się meskineryą, a przyroda, wiecznie piękna, wiecznie świeża, potężna i porywająca, przyemiewa ciarą swym wszystko, co geniusz ludzki lub złoto stworzyć zdołały.

Jedno też błyskawiczne takie wrażenie, a koncerty i *réunion'y*, tłum różnojęzyczny, tęczowe stroje kobiet i przepych filisterski dla tych wędrownych ptaków roztańczany, pierchnęły z przed mych oczów, ustępując miejsca czarodziejskiej panoramie Renu.

Podwójny łańcuch wzgórz wyniosłych, już to skalistych i niedostępnych, już winnicami pokrytych, wprost kapryśna, pogięta w mnóstwo załamów, falująca, szaro-błękitna wstęga. Wzdłuż niej, jak ciemne obramowanie, dwie linie kolei żelaznej, a dalej przepyszne aleje, wiodące od białych murów miast nadbrzeżnych, do wiosek tętniących życiem, lub ruin, jak gniazda orle n skał przyczepionych,—to Ren. Ren, chwala Niemców, Ren, którego wody, w walce zaciętej, o nie toczoną, krwią się już nieraz zrumieniły.

Stojąc na pokładzie olbrzymiego parowca największego jaki po wodach tych kursuje, uprzedzamy sobie mimowoli punkta wytyczne owych bojów zaciętych i, co dziwniejsza, zaczynamy pojmywać podstawę nienawiści rasowej dwóch narodów, tak blisko niegdyś spokrewnionych, a tak wrogich sobie. Gdzie spojrzysz, zwaliska; a każde z nich prawie, ręką Francuzów w pył zostało zmiażdżone.

Przestajemy się więc dziwić, że między słynnymi z win swoich: Johannisberg'iem i Rüdesheimem, na miejscu najbardziej wyniosłym, duma narodowa Niemców dźwignęła olbrzymi *Nationaldenkmal*, upamiętniający zwycięstwo ich w wojnie 1870—71 r. Duma ta jednak zamienia się w oczach naszych na szowinizm, na przechwałkę przedwczesną, wobec faktów upamiętnionych przez zwaliska zameczysk nadreńskich.

Ten sam *Schloss Johannisberg* podarowany był w 1814 r., przez Napoleona I-go marszałkowi Kellermann, poczem przeszedł wręce ks. Metternich'a. Nieco dalej, ruina *Enrehfels*, to zamek... zniszczony przez Francuzów. A deptali oni po najdroższych sercu niemieckiemu pamiątkach. Tu „Mysia wieża“, otoczona aureolą legend ludowych; tam, *Burg Klopp*, w którym więziono cesarza Henryka IV-go, lub słynna skała *Lorelei*, *Lurlei* inaczej zwana, a opiewana w gędźbie ludu i pieśniach wieszców narodowych. Zaraz zaś obok, zwaliska zamku *Gutenfels*, zniszczonego na rozkaz Napoleona.

Naprzeciw, *Schoenburg*, obalony przez Francuzów. A dalej,—dalej, w opowieści tej, daty zmieniają się tylko. *Katzenellenbogen*, ruiny zameczyska, rozbitego przez Francuzów w 1806 r. *Rheinfels*, zburzony przez nich w 1795 r.; *Rheinse* i *Königsstuhl*, wstawione elekcyami cesarzów, a zniszczone przez wojska galijskie podczas wielkiej rewolucji. *Lahnneck*, *Stolzenfels* obrócone w perzynę przez Francuzów. Wprawdzie ostatnie to gniazdo orle, dziś własność cesarza niemieckiego, dumnie odbudowane zostało, lecz zaraz obok, Koblenca naznaczona jest mieczem francuskim, pod *Weissensturm*, obelisk wzniesiony na skałę na cześć generała Hoche'a, upamiętnia miejsce, w którym wojska jego Ren przekroczyły, a ruiny zamku *Sayn* świadczą również o tryumfalnym ich pochodzie. Od *Rheineck*, aż do Kolonii, wszędzie widnieją ślady zwyciężkiego ich oręża. Cóż więc dziwnego, że Niemcy poświęcili milion marek na wzniesienie jednego chociaż pomnika, któryby wstawiał własny nad nimi tryumf. Wszak traktem tym przebiegają corocznie dziesiątki tysięcy podróżników, przewija się kwiat cywilizowanej Europy i Ameryki.

I nie dziwnego; szlak to iście zaczarowany. Co skała—ruina. Co wzgórze,—zwaliska, malowniczo błuszczeniem spowite. Zaczynam wkońcu podejrzewać autentyczność tych murów rozbitych, postrzępionych, które pleśń wieków zbyt identycznie, zbyt regularnie pokrywa. Na stokach skalistych, gdzie rolnik waleczy w pocie czoła z przyrodą, podmuro-

wając każdą pędz winnicy, w obawie przed osuwaniem się gruntu, na urwiskach, służących na pokaz przedewszystkiem, ruina taka, malowniczo rzucona, a zespolona ze średniowiecznym naprędcie ukutem podaniem, toż to krynica złotodajna. Kolej zębatą, wiodącą na wierzchołek skały, *Gasthaus*, w cieniu zwalisk ukryty i gotowe niewyczerpane źródło dochodu.

A statek nasz roi się od Anglików i Yankes'ów. Przy obiedzie, do którego zasiadło osób kilkaset, dźwięki Albionu panują wszechwładnie dokoła. Przed chwilą minęliśmy Koblenecę, której most pontonowy rozstał się szybko przed nami. W powietrzu więc krzyżowały się zdania o starożytnym tym grodzie, wypowiedziane we wszystkich językach europejskiej wieży Babel. Nagle zapanowała cisza: łosoś reński, tu, na Renie podany, skupił uwagę wszystkich. Złoty Rüdesheimer dopiero, zagrzawszy krew, rozwiązał języki, a John Bull, rozradowany, zrzuciwszy maskę zimnej obojętności, ścisnął dłonie „bratu Jonathanowi,” *) jak gdyby go na rodzinnej swej witał ziemi. I co się dziwić, że dla tych miliarderów, wniosła tu naprędcie, starą, wojen krzyżowych sięgającą ruinę?

Nie bądźmy jednak niewdzięczni. Przed nami bowiem „Siedmiogórze,” którego szczyty, zewsząd widzialne, stałe już towarzyszyć nam będą, a dalej przepyszny *Drachenfels*. Te potężne, na wysokiej górze rzucone zwaliska, to nie udanie, nie dekoracya sztucznie stworzona, lecz świadek rzeczywisty zamierzonej przeszłości, zabytek z owych czasów, w których tytani chyba na szczytach niedostępnych warownie takie wznosili. Dziś, wperzynę rozbite, zdają się po to jedynie królować nad rozległym obszarem kraju, by wieże ich, sterzące ku niebiosom, poszarpane, a w opuszczeniu swem królewsko jeszcze piękne, wołały wielkim głosem: *Sic transit gloria mundi!* Sława świata w proch rozsypaną została: przetrwały ją wszakże dwie potęgi: Myśl ludzka pnąca się kornie ku niebiosom, a upostaciowana w kryjącej się u stóp ruin, nienaruszonej gotyckiej kapliczce i wiecznotrwała siła przyrody. Wino bowiem, „krwią smoczą,” *Drachenblut*, zwane, a przez skały te wydawane jedynie, do dziś dnia istnieje, stanowiąc jedną z osobliwości Siedmiogórz.

Być może, że i inne zameczyska równie są zajmujące; dojrzałe jednak na zakręcie wieżące katedry kolońskie, zasłaniają nam sobą wszystko dokoła. Jest to znów zwycięstwo idei nad materją. Wy-smukłe te bowiem koronkowe kolumny zajmują tak mało miejsca na horyzoncie, iż zdają się, biegnąc w niebiosy, tonąć w białawym, zawisłym nad nimi obłoku, a jednak krzyż, śmiało, a powiewnie ku chmurom przez nie dźwigany, każe nam mijać obojętnie Bonn, siedlisko mądrości niemieckiej i znieczula nas na wszystko, nawet na ruch szalony, panujący na Renie. Ani statki parowe, mijające się co chwila, ani lokomotywy pędzące z łukiem po dwóch stronach wybrzeży, ani łodzie pokrywające rzekę nie zwracają już naszej uwagi. Przykuta ona cała do tego złotego punktu w obłokach. Odrzywa on nas od ziemi, od gwarne, różnorodnego otoczenia i niesie na skrzydłach myśli tam, gdzie dają gotyckie wieżące tej przepięknej świątyni.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— O przywróceniu wyższych kursów dla kobiet w Kazaniu czynią się tam starania. Kursy te istniały od roku 1876 do 1882. Piętnastu profesorów miejscowego uniwersytetu pragnąc ich przywrócenia podało w tym celu zbiorową petycję. Zasada tu jest, że kobiety z wyższem wykształceniem potrafią lepiej przygotować dzieci do nauki szkolnej i nastę-

pnie jej dopilnowywać, a przy wyborze nauczycielek domowych umiejętniej sądzić mogą o zasobach ich wiedzy.

— Kosztem p. Heleny Trusiewiczówny wzniesiony został w mieście naszym przytułek sierot dziewcząt, mieszczący się przy ulicy Nowogrodzkiej, pod Nr. 5-tym. Jestto filia zakładu sierot dziewcząt Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, pod którego opieką i prawami zakład ten zostaje, a urządzono go pod wszelkimi względami wzorowo. Na początek mieścić się tam będzie sześć dziewczątek, nad którymi wzięła na siebie nadzór i opiekę założycielka, wraz z p. Ludwiką Siostrzeńciewiczówną. Poświęcenia zakładu dokonał ks. prałat Jagodziński w obecności opiekunek, p. p. Anny Schiele, J. Jankowskiej, Maryi Zborowskiej, Heleny Zbranieckiej, Reginy Głodkowskiej. Towarzyszyli temu aktowi p. p. Prezes wydziału sierot S. Krzeczowski, wice-prezes A. Wilczewski, lekarz Przytułku D-r Mleczko, oraz dwóch członków Towarzystwa dobroczynności, p. p. C. Gąsowski i B. Knoll.

— P. Stefania Łuczyczna złożyła w ręce prezesa Tow. Dobroczynności 100 rs., przeznaczając te pieniądze na mający się utworzyć w Piotrkowie fundusz na wsparcie nauczycieli i nauczycielek prywatnych. Rada Towarzystwa przyjęła go z przekonaniem, że dobry przykład sprowadzi naśladowców i ogłosiła, iż otwiera się przy tej instytucji „fundusz specjalny dla nauczycielek i nauczycieli prywatnych,” zajmujących się w tem mieście nauczaniem lub wychowaniem, a wytwarzający się ze składek tak nauczycieli prywatnych, jak i prywatnych osób dobrej woli. Z funduszu będą dawane tak pożyczki, jak i wsparcia nauczycielom i nauczycielkom, wsparcia przecież tylko z procentu, na ten cel zebranego.

— Warszawskie Towarzystwo dobroczynności udzieliło z zapisu s. p. Wysiekińskiej trzem wdowom, obarczonym największą liczbą dzieci, po 75 rs. Z zapisu s. p. Rapackiej wydano za drugie półrocze po 60 rs., dwom uczniom z gimnazjum, oraz dwom podupadłym nauczycielkom po rs., 3 a jednej szwaczce półtora rubla.

— W d. 15 października odbyło się poświęcenie nowego Przytułku sierot pod wezwaniem S-go Antoniego przy ulicy Nowogrodzkiej. Przytułek ten, który jest częścią zakładu sierot War. Towarzystwa dobroczynności, utrzymuje się kosztem p. Heleny Trusiewiczówny.

— Utrzymujemy kosztem p. Heleny Zbranieckiej Przytułek sierot pod wezwaniem S-tej rodziny, przytułca 13 dziewczątek od lat czterech do dziesięciu, dozorczykami przytułku są p. p. Bronisława Jasielciewiczówna i Marya Mizgierówna. Lokal mieścił się poprzednio za rogatkami mokotowskimi, obecnie przeniesionym został do domu Nr. 7, przy ul. Okólnik, gdzie zajmuje kilka pokoi widnych i zdrowych.

— P. Stefania Sempołowska, nauczycielka, widząc potrzebę okazji przyrodniczych przy lekcjach wykładanych dzieciom metodą poglądową, zgromadziła znaczną liczbę tych okazów i urządziła ich wypożyczalnię, co nietylko ułatwia pracę nauczycielkom, ale da dzieciom możność dokładniejszego obeznania się z naturą.

— Przy jednej ze szkół malarstwa dla kobiet, mieszczącej się w mieście naszym, otwartą zostanie szkoła fotograficzna, gdzie uczennice będą się kształciły w rysunku anatomicznym oraz i w retuszowaniu.

— P. Ludwika Dobrzyńska, mieszkanka, Kalisza ofiarowała maszynę do robienia pończoch Sali zajęć biednych dzieci, a co więcej ofiarodawczyni obiecała łaskawie nauczać sama starsze dziewczynki. Jest to więc nietylko ofiara grosza — jest to ofiara trudu, mozołu niemałego.

— Kosztem p. Maryi Grodzickiej, mieszkanki Lublina, dokona się reperacya dachu kościoła poddominikańskiego. Ofiara to jest 483 rs.

— Zakład wychowawczy dla niezdolnych dziewcząt utworzonym został w Łomnie, w Galicyi Wschodniej, pod przewodnictwem stowarzyszenia Rodziny Maryi. Klasy będzie tu osiem; obecnie otwartą została klasa pierwsza; co rok otwieraną będzie jedna klasa więcej. Wychowanki zakładu kształcić się będą oprócz nauki szkolnej w gospodarstwie domowym, to jest w chodowli drobiu, urządzaniu wędlin i przerobów z nabiału, oraz w umie-

jętnem zarządzaniu owocowemi i warzywczemi ogrodami, w kroju, szyciu, haftowaniu. Opłata miesięczna 10 zł. reń. Pierwsza klasa już jest otwartą.

— W Poznaniu zawiązuje się bardzo pożyteczna instytucja „Stowarzyszenie opieki nad pracą kobiet, gdzie skupią się wszystkie robocze siły niewieście dla wzajemnego popierania się tak w nauce pracy zawodowej w rozmaitych jej gałęziach, jak i zapomogach rozmaitego rodzaju, aby nieść tu obok pomocy materyjalnej, pomoc naukową, oraz pomoc wskazówek, jak kierować pracą swoją w warunkach jej realnych.

— Niemiecka malarka na szkło, Ludwika Menzel, otrzymała na wystawie sztuki w Lubece medal złoty.

— D-r Agnieszka Blum i D-r Helena Schubert-Feder wykładają będą w bieżącym semestrze w Berlinie, w Akademii Humbolta.

— Sto angielskich misyonarek wyjechało dla szerzenia religii chrześcijańskiej w różne strony świata, osiem z pośród nich udało się do Chin. Jedną pomiędzy nimi, należąca do związku „Zenana Missyon,” to jest do związku działania na kobiety przedostając się do ich haremów, została ciężko ranną wśród ostatnich tam zaburzeń i rzezi. Leczona w szpitalu missyi, Foochow Hospital, przysłała do zdrowia, ale osłabiona niezmiernie wraca do ojczyzny.

— Hrabina Marya Lucan, irlandka zaprowadziła w 1891 roku w dobrach swoich przemysł przędzenia nici z tak szczęśliwym skutkiem, że 2,500 funtów uprzedzonego włókna zostało już sprzedanych, przynosząc znaczne zyski robotnicom, więc podnosząc ich rodziny nad nędzę.

— Miss Kinsley udała się w 1893 roku do Afryki, do St. Paul de Loanda, w celu badań naukowych przyrody tamtejszej. Zbiory jej z zakresu botaniki i zoologii, jakie przywiozła do ojczyzny po powrocie, wykazały wielką wartość naukową.

M-rs Emelina Pankhurst wygłosiła bardzo piękny i szlachetny w poglądach swych odczyt o obowiązku ludzi zamożnych wspierania ubogich, szczególnie w zakresie wykształcenia młodzieży. Przytaczając słowa Chrystusa, że to, co dajemy ubogim, dajemy Bogu, dodała, że dajemy to i społeczeństwu swojemu, bo oświata tak ubogacza narody, jak i uszczęśliwia jednostki, gdyż człowiek wykształcony inaczej patrzy na życie jak ten, pogrążony w ciemnościach niewiedomości, który nie wybiega myślą po za materyjalne strony istnienia. Królowa Wiktoria przesłała tej pani podziękowanie, skreślone własną jej ręką i zawierające wyrazy wielkiego szacunku dla jej podniosłych poglądów na życie.

Przemysł w Chinach.

Europejczyk zwiedzający w Chinach budowle, uważane za bardziej ciekawe do obejrzenia, jak: świątynie, pagody, bramy tryumfalne i t. p., nadzwyczaj szybko nuży się ich wieczną jednostajnością. To, co dla podróżnika byłoby naprawdę zajmującym, jak np. pałace królewskie i groby w Pekinie, nie jest dla niego dostępne, w Nankinie znów, zabytki te są wprawdzie dostępnymi, znajdują się jednak w zupełnej ruinie.

Podróżnik niemiecki, Ernest Hesse - Wartegg, utrzymuje, że bezporównania bardziej zajmującym od zwiedzania chińskich pamiątek i budowli, jest przyjrzenie się z bliska życiu tamtejszych mieszkańców, — przedewszystkiem zaś ich przemysłowi.

Przybywszy do chińskiego miasta, opisuje wyżej przytoczony podróżnik, pierwszą rzeczą było przejść z moim tłumaczem przez bardziej zaludnione dzielnice. Atoli spostrzegłem wkrótce, że ja sam stanowią dla tamtejszych mieszkańców osobliwość, więcej godną podziwiania, niż oni i otoczenie ich dla mnie..

*) „Brat Jonathan,” nazwa żartobliwa, nadawana Amerykanom przez Anglików, którzy wzamian noszą miano: John'a Bull'a.

Chmara młodych, obdartych Chińczyków biegła za mną, krzycząc i zwołując innych po drodze, tak, że w końcu wzrosła do potężnej gromady, a jeśli gdziekolwiek zatrzymałem się na chwilę, otaczał mnie tłum, poprostu trudny do przebycia.

W Kantonie, głównym siedlisku Chińskiego przemysłu, Europejczyk nie wzbudza już takiego podziwu, tamtejsi mieszkańcy od 300-u lat przyzwyczajeni są do spotykania Europejczyków różnych narodowości. Kanton można by nazwać nie Paryżem, jak się wielu podróżnym nazywać podoba, — a raczej New-Yorkiem państwa Niebieskiego. Setki tysięcy robotników zajętych jest tam około przeróżnych, a zawsze prawie charakterystycznych wyrobów, które na niezliczonych statkach, wozach i grzbietach mułów, bywają z państwa wywożone.

W Kantonie znajdują się najrzęczniejsi robotnicy, najbogatsi kupcy, najzasobniejsze i najwspanialsze sklepy i gdziekolwiek się potem pojedzie, do Ningpo, czy Hangtzu, do Czingiang czy Wun, — na północ, czy na południe, nigdzie rozwój przemysłu chińskiego nie może iść nawet w porównanie z rozwojem tegoż w Kantonie.

Tak samo, jak to bywa w Europejskich miastach spotykamy też i w Chinach ulice, zajęte przeważnie przez jedną gałęź przemysłu. I tak, tu ciągnie się długa, parowiorstowa ulica, na której sklepy, jeden za drugim, mieszczą wyłącznie jubilerskie wyroby, a natłoczone są tak gęsto, że nieraz trudno rozemnieć odrazu, czy to, lub tamto okno wystawowe, należy do sklepu na prawo, czy na lewo. Dalej wchodzi się w ulicę, gdzie oprócz wachlarzów, nie napotkasz prawie niczego innego, — jeszcze dalej widzisz niezmiernie szereg magazynów stolarskich i t. d.

Jeden dom omal nieczem nie różni się od drugiego. Parter zajęty zawsze na skład towarów i otwarty zwykle na wszystkie strony, wyższe piętra poświęcone na mieszkania, ze wszystkich zaś ganków, nie rzadko też i okien, zwieszają się długie, czerwone, żółte, złoczone, lub czarne szyldy. Istny las szyldów, które poruszane wiatrem, migocą w słońcu i na wązkiej uliczki rzucają fantastyczne cienie.

W przemysłowych dzielnicach Kantonu, czy nawet innych, drobniejszych miast państwa Niebieskiego, nie spotka się nigdy bezczynnego człowieka, — chyba, że spoczywa on wyciągnięty pod białą osłoną, nieruchomy na zawsze.

Często ustawiają umarłych w tych samych miejscach, w których pracowali za życia.

Podczas epidemicznych chorób, w sklepach, magazynach i warsztatach, nieraz po kilku trupów leży w pośród zgłętku i ruchu. Nie przeszkadza to innym pracować z prawdziwie chińską zawziętością, zda się, nikomu na myśl nie przyjdzie, że i jemu śmierć nagle przerwać może zajęcie i wyrwać robotę z ręki.

Podróżnik jest tam pewnie jedynym człowiekiem, który bezczynnie przechadza się pomiędzy kręcącymi się jak w ulu pracownikami.

Chińczyk nie uważa na niewygodę, na złe pomieszczenie, na brak odżywczego powietrza, pracuje wytrwale i z niezrównaną istotnie cierpliwością.

Atmosfera,apełniająca sklepy, składki i warsztaty chińskie, byłaby dla Europejczyka wprost nie do zniesienia. Duszna, nie odświeżana nigdy, przesiąknięta zapachem opium, sandałowego drzewa, stęchłą i wyziewami ludzkimi, utrudnia pracę płuc do niej nieprzyzwyczajonych i rękę, stonfuntowym ciężarem przytłacza ci głowę.

Przypomina jakieś pieczary, jaskinie, czy groby i w cudzoziemcu wzbudza przykre wrażenie pognebnienia i bojaźni.

Bo też w rzeczywistości fabryki chińskie mieszczą się po większej części w piwnicach, niby grobach, a myśl, co by to było, gdyby jakiś Li-Hung-Tschang powołał te niezmordowane ręce do lepiej zorganizowanej pracy, niepokojem napełnić może serce Europejczyka. Wyobraźmy sobie, że ci nieustrudzeni, bajeźnie wytrwali robotnicy, staną przy maszynach parowych, nauczą się radzić sobie z elektrycznością, pobiudują wielkie piece i odlewnie, — i pomyślny wtedy, — jakby wyglądał przemysł i produktyjność naszego cywilizowanego świata.

Na szczęście jednak Europejczyka, Chińczyk przy całej swej wytrwałości, sile i zręczności, nie posiada ani odrobiny zmysłu postępowego.

Pracuje dziś w ten sam sposób, jak pracował przed tysiącem lat, używając tychże samych, co przed wiekami narzędzi i środków. Podróżnik kupuje dziś takie same przedmioty, jakich niezliczoną moc znajdzie w najstarożytniejszych grobowcach, i nie tak prędko światło postępu przedostanie się w tę zbitą masę pracującego tłumu. Podkład upartego, zakorzenionego od wieków konserwatyzmu broni Chińczyka od przyswojenia sobie wszelkiej nowości. Europejczycy nieraz i od dawnego już czasu, próbowali wprowadzić do państwa Niebieskiego rozmaite narzędzia, ułatwiające nisko cenioną pracę rąk chińskiego robotnika, — ten atoli, każdy nowy sposób uznaje za niegodny siebie i spotrzebowując wprawdzie nieporównanie więcej czasu, każdą podjętą przez siebie robotę, wykonywa z większą jeszcze starannością, niżby ją Europejczyk wykonać był w stanie.

Co jednak najdziwniejszym jest w pracy Chińczyków to to, że nie istnieje u nich taki podział roboty, do jakiego myślimy już od bardzo dawnego czasu przywykli. Sang-Ting sam wymodelował wzór do swego bronzu, sam go odlał, sam wycyzlował na nim figurki i zwierzęta, sam je polierował. Sang-Czing nie tylko drzewo przygotował do swego sprzętu, ale nadto, sam je wyrzeźbił, sam utkał materiał i sam dokonał tapiearskiej roboty. Często uderzają nas dziwaczne pomysły rozmaitych przedmiotów, we wszystkich atoli zaznacza się pewien odrębny charakter. Tysiące wachlarzów wychodzi z ręki jednego robotnika, zaczawszy od przyrżnięcia trzciny, skończywszy na polakierowaniu i malowaniu. Jeśli Chińczykowi ręk do roboty nie starczy, posilkuje się nogami. Palce u nóg ma zdumiewająco wygimnastykowane. W każdym Chińczyku tkwi naraz kilku uzdolnionych rzemieślników.

Bywają osady, w których nie ma ani jednego sklepu, mieszkańcy wszystko umieją zrobić sami.

Trafiają się tam także wędrowni rzemieślnicy, którzy na grubym bambusowym kij, dźwigają przewieszone przez ramię kosze, przepełnione rozmaitego rodzaju narzędziami i naczyniem. Czasem bywają to krawcy, szewcy, stolarze, cyrulicy i kowale w jednej osobie.

Jak już rzekliśmy, w niektórych gałęziach przemysłu, pomimo arcy-pierwotnych narzędzi, Chińczycy dorównują Europejczykom, a nawet przewyższają ich. Srebrne wyroby zacofanego mongolskiego plemienia, są istotnie godne podziwu. Najoryginalniejszych kształtów czary, wazon, dzbanki, ozdobione bywają tak kunsztownie wykonanymi figurkami, że nawet na tych, które zaledwie cal wysokości liczą, z niesłychaną czystością wykonane są najdrobniejsze szczegóły głowy i draperyi.

Do bajecznego poprostu artyzmu dochodzą Chińczycy w sztuce haftowania. Tysiące mężczyzn i kobiet zajętych jest w Kantonie delikatnymi jak pajęczyna haftami, które chętnych znajdują nabywców i masami wywożone są do Europy.

Po kilka miesięcy, a nieraz i dłużej, wiele rąk pracuje nad jedną sztuką. Kwiaty, ptaki, motyle i t. p. wzory nie są na materii odrysowywane, a tylko wprost z rysunku przenoszone na jedwabne tkaniny. Chińczycy zwykle haftują w ten sposób, że haft na obie strony wychodzi jednakowo, przyczem umieją nitki tak zręcznie zakończyć, że nigdy supełów i końców nie widać.

Aczkolwiek o nauce chemii, Chińczycy nader słabe mają pojęcie, w sztuce farbowania doszli do nadzwyczajnej umiejętności i przez nich farbowane materiały nierównie dłużej utrzymują swoją barwę, niż najprzedniejsze materje europejskie.

Wyroby z kości słoniowej, kamienia i twardego drzewa wychodzą z rąk Chińczyka z wykończeniem, które świadczy o jego bezprzykładnej prawdziwej cierpliwości. Natomiast w sztuce malowania pozostał bardzo pierwotnym i zacofanym, — o perspektywie i cieniach nie ma prawie pojęcia, wszystko u niego martwe, jednostajne i na jednej płaszczyźnie.

Tkactwo, mimo, iż nigdzie w Chinach nie spotyka się fabryki, choćby w przybliżeniu przypominającej urządzeniem nasze fabryki europejskie, stoi bardzo wysoko. W pierwotnych, niezręcznych warsztatach umieją wyrabiać jedwabne tkaniny, takiej doskonałości, że służą one za wzór najbardziej udoskonalonym fabrykom.

Cesarska fabryka wyrobów jedwabnych w Pekinie, dostarczająca tkanin dla dworu, grobowców i świątyń, składa się z szeregu brudnych, zakurzonych, cuchnących izb, zastawionych przedpotopowymi tkackimi warsztatami, które jednak wyrabiają tak delikatne i wspaniałe materje, że są one podziwem najwybredniejszego europejskiego znawcy.

Porcelana stanowi także jedną z wybitnych gałęzi chińskiego przemysłu. Z Chin przemysł ten przedostał się do Korei, stamtąd do Japonii i dzisiaj ta ostatnia przewyższyła w tem obydwa poprzednie kraje.

Zapewne nie wszystkie czytelniczki nasze wiedzą, skąd powstała nazwa — porcelana, która w tak wielu europejskich językach brzmi prawie jednako.

Nazwa ta pochodzi z portugalskiego. Kiedy przed kilkoma wiekami Portugalczycy ujrzeni po raz pierwszy białe, łamliwe naczynka, sądzili, że są one wyrabiane z perłowej masy, ta zaś w języku portugalskim nazywa się „porcellana“ i nazwa ta pozostała przywiązana do tego wyrobu do dnia dzisiejszego.

Papier znali Chińczycy już w pierwszym wieku po Chrystusie, ale dziś wyrabiają go w ten sam sposób i z tychże samych materiałów, co przed tyloma wiekami.

Do fabrykacji papieru używają włókien bambusowych z przymieszką bawełny. Za najlepszy papier, uważano tam papier z Korei i do niedawna jeszcze, część haraczu, jaki król Korei wypłacał cesarzowi chińskiemu, wypłacany był w pewnej ilości papierem. Również dawno, jak papier, znanym jest w Chinach tusz, do dziś uważany za doskonały.

Niektóre wszakże artykuły europejskiego przemysłu, wyrobiły sobie w Chinach prawo obywatelstwa szczególnie zaś te, które tylko w udoskonalonych maszynach bez zarzutu mogą być wykonane.

Miedzy innymi np. igły. Wyrabiane ręcznie nie mogą iść w porównanie z igłami angielskich, a nawet i niemieckich fabryk, co też i konserwatywny i uparty Chińczyk rozumiał. Zbyt igieł w Chinach szedł z początku nader epornie, — angielscy kupcy zrozumieć jednak prędko, że przedewszystkiem odstraszał zabobonnych Chińczyków czarny kolor drobnych paczuszek, w jaki najczęściej igły bywają zawijane, i dopiero od czasu jak transporty igieł, idące do Chin, składały się z czerwonych i niebieskich paczek, igły z Birmingham przedostały się i do bardziej oddalonych zakątków państwa Niebieskiego.

Szkoło, którego do czasu stosunków z Europą Chińczycy nie znali wcale, jest dziś przedmiotem ogólnego użytku. W miejsce dawnych luster metalowych i papieru, którym zasłaniały okna, widać dziś omal wszędzie, szyby i lustra sprowadzane z Europy.

Od Europejczyków także przyswoili sobie Chińczycy noszenie okularów. Te atoli fabrykują sami. Doskonale szlifują kryształ i osadzają go w rogową lub kościaną oprawę. W Chinach należy do dobrego tonu nosić jak największe okulary. Im za-możniejszy i wyższego stanowiska jest człowiek, szkieł używający, tem więcej miejsca na jego twarzy szkła te zajmować winny.

Przywiązanie Chińczyka do narzędzi, jakimi posługiwali się jego praojcowie, tkwi w nim tak głęboko, że nawet w Kalifornii i wielu amerykańskich portach, gdzie w ostatnich czasach moc drobnego ludu z długimi warkoczami pracuje, sprowadzają ze sobą swoje pierwotne statki i narzędzia i używają ich, zamiast tych, które na miejscu znajdują.

Chińczyk nierównie łatwiej godzi się z przedmiotem, którego nie znał wcale, niżli zmienia sposób wykonywania jakiejś przez siebie znanej roboty.

Aczkolwiek historia przypisuje Chińczykom zasługę wielu cennych wynalazków, dziś nie są oni bynajmniej narodem wynalazczym — i celują jedynie w drobniactwem i wytrwałym wykończeniu każdego, choćby i bardzo trudnej roboty.

W Szanghaji, Singaporze i w ogóle prawie w całej wschodniej Azji, drobny przemysł spoczywa w ręku Chińczyków. Nikt nie może współzawodniczyć z nimi pod względem pracowitości, a zarazem małych nadzwyczajnie wymagań.

Nawet szewstwo i krawiectwo przeszło w ich ręce. We 24 godzin można tam mieć gotowe, z wybranego przez siebie materiału, podług danego

wzoru, sumiennie odszyte odzienie, stosunkowo za bajecznie niską cenę. Nie należy tylko za wzór dawać chińskiemu krawcowi, starego, reperowanego lub łatanego ubrania, albowiem z pewnością wszystkie szwy i łąty znajdują się z niechybną dokładnością w tych samych miejscach na nowem odzieniu.

Chiński robotnik więcej jest maszyną, niżli człowiekiem,

Z. S.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż podczas wystawy w Niższym Nowogrodzie ma się odbyć zjazd 160 straży ogniowych. Komisarz generalny wystawy zwrócił się do wystawców z żądaniem, aby budowlę wystawy ukończoną być mogły wraz z upływem tegorocznego sezonu budowlanego. Od d. 8 bieżącego miesiąca ustało już przyjmowanie deklaracji na budowę pawilonu. Administracja wystawy układa przewodnik, mieszczący dwie części, a wyjdzie z druku w czterech językach: rosyjskim, francuskim, angielskim i niemieckim.

— *Wiadomości Petersburskie* piszą, iż w pierwszych dniach listopada rozpoczyna się pod przewodnictwem ministra rolnictwa narady komisyj z celem rewizyj przepisów o polowaniu. Pismo to podaje krążące półgłoski o wysłaniu do Chin misji pełnomocnej ze swiątą bardzo liczną i świetną.

— Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej postanowiła uwolnić osoby prawdziwie ubogie od podatku szpitalnego i zaopatrzyła je w bilety, dające prawo do bezpłatnego leczenia. Prawo to przysługiwać może tylko stałym mieszkańcom Warszawy, a przede wszystkim starcom i kalekom, których ubóstwo i stan zdrowia stwierdzi i poświadczy władza lekarska.

— Zamknięta wystawa ogrodnicza kosztowała Towarzystwo ogrodnicze 13,500 rs., a to: na budowlę hali, 7,900 rs., na roboty tapicerskie, 1,328 rs., na utrzymanie służby 445 rs., wydatek na muzykę 750 rs., na oświetlenie elektryczne 500 rs. Obok tego zaczerpnięto z tej sumy według uchwały ogólnego zgromadzenia członków Towarzystwa 5,000 rs., na budowę stałego pawilonu wystawowego. Dochód z wystawy przyniósł 6,972 rs., przecież po obliczeniu wartości materiałów pozostałych, a przydatnych do drugiej wystawy, obliczono dochód na 7,386 rs. Ponieważ subwencja rządowa przedstawia 1,000 rs., zatem niedobór ogranicza się do 114 rs.

— Przy ogrodzie pomologicznym mieści się internat dla uczniów ogrodnictwa, przybywających z prowincji dla praktyki ogrodniczej. Inspektor ogrodu, p. Gierdwoń, udziela im po skończeniu praktyki świadectwa ze znajomości warzywnictwa, kwiaciarstwa, lub sadownictwa; obecnie Ogród pomologiczny liczy 30 praktykantów a między nimi jest kilku uczniów szkoły ogrodniczej p. Zawady w Częstochowie, oraz uczniów szkoły ogrodniczej w Humanu. Żałować można, iż nie ma takiej szkoły dla ogrodników fachowych i dla pań ziemianek, które by zarządzały umiejętnie ogrodami w posiadłościach swoich. Zajęcie to jest użyteczne i odpowiednie dla kobiet.

— Komitet Towarzystwa sztuk pięknych po osądzeniu prac, nadesłanych na konkurs, ogłoszony w d. 14 bieżącego miesiąca na rysunki i akwarele do reprodukcji z celem utworzenia albumu, a które jako premium rozdawane będą członkom Towarzy-

stwa za rok bieżący, zakwalifikował do zakupu: Apoloniusza Kędzierskiego „Rybacy“, Bohusza Sierżeniewicza „Zbiór siana“, Ludwika Stasiaka „Mieszczka z Wiśnicza“, Wacława Pawliszaka „Na straży harem“, Edwarda Okonia studium „Głowa mężczyzny“. Obok tego komisyja podała projekt, aby dopełnić liczbę kartonów do albumu z reprodukcjami trzech obrazów znajdujących się na wystawie, które by zostały wybrane w porozumieniu z komitetem Towarzystwa. Według regulaminu Towarzystwa prace nabyte stają się wyłączną własnością Towarzystwa, które również ma prawo wyłączne do reprodukcji. Album składać się będzie z pięciu reprodukcji prac na konkursie odznaczonych i z reprodukcji trzech obrazów, wybranych przez komitet.

— W salonie sztuk pięknych Al. Krywulka, mieszczącym się w hotelu Europejskim, Jan Styka wystawił dwa studia fantazyjne: „Wenecyanka“, i „Złotowłosa“, a są one zdjęte z natury w czasie pobytu tego artysty na południu Europy. Obok tego wystawiono także osiem nowych obrazów, a zakupiono: Alfreda Wierusz Kowalskiego „Zima“, Maryi Gażycówny „Chryzantemy“, Wacława Trojanowskiego „Odaliska“, Kazimierza Michalskiego „Na służbie“, Stanisława Chlebowskiego „Typ turczyna“.

— Boczna kaplica katedry kieleckiej została przyozdobiona bogatymi malowidłami malarza J. Czajewicza, obok tego dane tu będą dwa okna malowane przez I. Kosiakiewicza, na jednym Chrystus modlący się w Ogrójcu, na drugim Śty Stanisław Kostka. W tejże kaplicy mieścić się będzie „Wieczera Pańska“ pendzla Ksawerego Pillati według rysunku Pousin'a.

— Szkoła sztuk pięknych w Krakowie została otwartą o dwa tygodnie później niż zwykle bywało za czasów zarządu Matejki, co sprawiło niemiłą zawód tym zwłaszcza, którzy zjechali do Krakowa z okolic dalszych. Obecny dyrektor szkoły, Fałat, ma według pogłosek znieść „Szkołę mistrzowską“, założoną przez Matejkę, a która była wielce użyteczną, zwłaszcza dla mniej zamożnych artystów, którzy dopełniali tu wykształcenia swego w sztuce, otrzymując to bezpłatnie i znajdując możność kształcenia się wyższego przez korzystanie ze wzorów bezpłatnie.

— Utalentowany rzeźbiarz, Leonard Marconi, zamieszkały w Lwów, wykonał już w glinie model pomnika Aleksandra Fredry. Przedstawia on „ojca komedii polskiej“ siedzącego w krześle, w ręku trzyma pióro, godło jego pracy, z ramion spływa płaszcz tworzący draperyę. Oblicze zostało wykonane z fotografii i maski pośmiertnej. Pierwszą inicjatywę wzniesienia pomnika dało lwowskie koło literacko-artystyczne w 1891 r., na wniosek prof. Babina. Komitetowi, który tu działał przewodniczył Albert Wilezyński.

— Zmarł w Krakowie zasłużony pisarz, historyk i starożytnik, Żegota Pauli. W latach swych młodych zwiedzając wszystkie okolice kraju zbierał podania, pieśni ludowe i badał starożytności. Do ważniejszych prac jego należały obok „Starożytności galicyjskie“ i „Pieśni ludzi w Galicji“, „Pamiętniki życia i spraw Samuela i Krzysztofa Zborowskich“ i „Żywoty hetmanów“. Starożytności galicyjskie miały się składać z dziesięciu zeszytów, lecz dla braku przedpłaćcieli wyszedł jeden tylko zeszyt. Zapomniany od wszystkich w latach swych starszych, oddał się jeszcze usilniejszej pracy i zostawił po sobie obok wyborowej biblioteki bardzo wiele rękopismów, które powinny być wydane jako rzecz pożyteczna dla ogółu.

— W uniwersytecie Jagiellońskim mieści się zapisanych na półroczę zimowe słuchaczy i na wydziale teologicznym 68 zwyczajnych i jeden nadzwyczajny, na wydziale medycznym 374 zwyczajnych i 23 nadzwyczajnych; na wydziale prawnym

500 zwyczajnych i 9 nadzwyczajnych, na wydziale filozoficznym 104 zwyczajnych i 16 nadzwyczajnych, na wydziale rolniczym 17 zwyczajnych i 13 nadzwyczajnych; farmaceutów 20.

— Kongres literacki w Dreźnie, zamknięty w dniu ostatnim zeszłego miesiąca odbył się przy zjeździe przedstawicieli wszystkich niemal narodowości. Zebranie takie „Association litteraire et artistique internationale“ nastąpi w 1896 r., w Szwajcaryi, w Bernie. Na odbytym kongresie podniesiono najpierw sprawę ubezpieczenia własności literackiej we wszystkich dziedzinach jej twórczości; przyjęto tu zasady konwencji berneńskiej, jako obowiązujące wszystkich pisarzy, należących do Stowarzyszenia.

Co mówią kwiaty

zebrała i ułożyła

Marya Piechocka.

Ostrokrzew.—Obrona. Przeczność.

Podczas zimy nie ma nic miłszego nad widok krzewów o listkach zielonych, lśniących, ozdobionych szkarłatnymi jagódkami, które przyjemnie odbijają od niepokalanej białości co je otacza; mimowolnie zbliżamy się do nich, ale biada śmiałkowi, któryby chciał uciąć gałązkę lub zerwać jagodę; ostrokrzew najeża się kolcami swoich liści.

Często aby się zemścić na delikatnej ręce co się niebacznie do krzewu przybliży, ostry sztylecik wydobywa z niej czerwoną kroplę, na kształt jagódki. Tym sposobem daje naukę, że są rzeczy, których inaczej jak okiem używać nie należy.

Postuchaj słowika, napawaj się różą.

Lecz nie bierz ich słońcu, powietrzu i ziemi:
Pieszczota człowieka gdy igrać chce z niemi
Bierze blask wszystkiemu, co istotą bożą!

Ostrokrzew, świerk lub sosna, służy najczęściej w urządzaniu drzewka Bożego Narodzenia.

Na północy, zwyczaj ten jest o wiele więcej rozpowszechniony, dlatego może aby wśród długiej zimy wprowadzić miłą i tak upragnioną zielen. Dzień ten zdaje się wyłącznie należeć do dzieci, tego odwiecznego symbolu odradzającej się wiosny.

W Niemczech szczególnie łączą się z świętem Bożego Narodzenia serdeczne uroczystości rodzinne. Wszyscy krewni zbierają się u najstarszego członka rodziny, liczni przyjaciele biorą udział w tych poufnych zebraniach. Na stole w największej sali mieszkania wznosi się Christbaum obciążony cukierkami, zabawkami, błyszczący od światła i kwiatów; pani domu przysposabia podarki dla obecnych, a wszystko w największym sekrecie aby każdego ucieszyć niespodzianką. Wieczorem, świeczki się zapalają, oświecając założone na stole bogactwa. Sala się otwiera, dzieci wbiegają z radośnymi okrzykami, każdy biegnie po cząstkę, którą mu serce matczyne przeznaczyło, i oto okrzyki szczęścia, uniesienia napędlają błogością serce tej, która potrafiła odgadnąć najskrytsze pragnienia ukochanych gości.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Za późno**, przez autorkę powieści „Silny duch.“ Przekład z niemieckiego, ark. 9.

TREŚĆ: Co życie dać może. VI. Religia, przez M. I. — Na dzień zaduszny. (Z podania ludowego), przez Romana Jungiewicza. — Kazimierz Gliński. Kłeska Powieść (dalszy ciąg). — Z wrażeń turysty. II. przez Anatola Krzyżanowskiego. — **Kronika działalności kobiecej.** — Przemysł w Chinach, przez Z. S. — **Z bieżącej chwili.** — **Co mówią kwiaty**, zebrała i ułożyła Marya Piechocka.

Dodatek obejmuje: **Za późno**, powieść przez autorkę powieści „Silny duch“ przekład z niemieckiego ark. 9-ty. — Przegląd mód. 14 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.